Nocna ekspiacja

Gdy wyruszał na polowanie w góry było słonecznie i beztrosko. Życie w osadzie toczyło się swoim normalnym odwiecznym rytmem – wolnym, leniwym, prawie że usypiającym. Gdzieniegdzie tylko dało się słyszeć szczere dziecięce śmiechy, które od czasu do czasu zanikały, by po chwili znowu powrócić, lecz tym razem z dużo większym natężeniem. Dzień, jak wiele innych poprzednich, płynął monotonnie w nieznaną sobie przyszłość, w nieodgadnioną wieczność. Jeszcze raz obrócił się i przyjrzał wiosce, jakby chciał nasycić wzrok jej widokiem, przeczuwając podskórnie, że szybko tu jednak nie wróci, i w następnej chwili zniknął w zaroślach.

Było paskudnie. Lało niemal od czterdziestu już dni i nie wiadomo było, kiedy i czy w ogóle kiedyś to się skończy; lało, jakby „ktoś" tam „na górze" zachorował na enurezję. Ale to mu nie przeszkadzało, wręcz przeciwnie – mimo że nic nie upolował, promieniał szczęściem; szczęściem, którego źródło tkwiło w zażartych modlitwach do Boga – jego Boga!, który był go w końcu wysłuchał, a ów deszcz był tego jaskrawym dowodem. Był darem od Najwyższego! Za jego niezachwianą wiarę w… nienawiść, niegodziwość i zawiść, której się nie wyrzekł, lecz pieczołowicie pielęgnował, a która jednocześnie była motorem wszelkich jego poczynań. Bo tak chciał On – Najwyższy, Stwórca świata! Ząb za ząb, oko za oko, czy w końcu śmierć za śmierć! Zresztą, takie żądania były mu na rękę, były zgodne z jego charakterem, z jego potrzebami, zarówno duchowymi, jak i fizycznymi. Był bowiem głęboko

przekonany, iż został nie tylko pokrzywdzony i niedoceniony przez los, on został również przez innych wzgardzony! Wiele mógł ścierpieć i przeboleć, upokorzenia jednak nigdy! Dlatego za wszystkie upokorzenia, śmiechy kpiące, te drwiny towarzyszące mu od maleńkości, chciał się zemścić, musiał to zrobić! Jednocześnie zdawał sobie doskonale sprawę, że sam nic nie zrobi, zemsta się nie dokona, ponieważ jest zbyt słaby, aby wystąpić przeciwko wszystkim. Potrzebna mu była jakaś mocna podstawa, która da mu siłę i wiarę w możliwość zmiany. Ugruntuje w nim głębokie przeświadczenie, że jest jedyny, wyjątkowy, bo wybrany!

I tutaj w tym momencie pojawiła się modlitwa, jednocześnie jako podziękowanie za już, ale też jako prośba o jeszcze. Więc się modlił, zawzięcie, uparcie, wręcz fanatycznie, wierząc, że kiedyś nadejdzie taki dzień i zostanie wysłuchany do końca; że kiedyś jego myśli i słowa staną się ostatecznie ciałem!

xxx

Gdy przestało padać i słońce po raz pierwszy od prawie czterdziestu dni przedarło się zza ciemnych chmur, wyszedł ze swojej górskiej kryjówki i spojrzał w dół. Dokoła, jak okiem sięgnąć, rozciągała się woda, nieprzebrane miliony jej litrów. „Zbawcza woda. Święta!” – jak mówił do siebie. Żadnej żywej duszy, ani jednego skrawka suchej ziemi – wszystko zalane! Tylko szczyty tych gór były ponad nią, jakby jakiś znak dla morskich rozbitków. Znak, że oto tu, na tym wierzchołku górskim narodzi się nowe, lepsze życie. Prawe, niezbrukane jeszcze żadną ludzką perfidią, życie warte Jego – Stwórcy wszechrzeczy!

Nie wiedział, co jest po drugiej stronie gór, ale nie martwił się tym – był przygotowany na wszystko. W swojej jaskini miał nagromadzone zapasy żywności na co najmniej trzy miesiące. A jeżeli będzie jadł racjonalnie, oszczędnie, to nawet na dłużej. Zresztą, to nie było ważne, nie myślał nawet o tym. Interesowała go tylko ta część, w której znajdowała się jego osada; osada, którą znienawidził z całego serca; osada, która już teraz nie istniała, ani nikt z jej mieszkańców. Oprócz niego, oczywiście. Poza nim nikogo więcej. Został tylko on, jedyny, ten wybrany!...

xxx

– Noe… Noel ! – potrząsnęła go mocniej.

– Co – co, co się stało? – zapytał z przestrachem i podparł się na łokciach. Zastygł teraz w pozycji półleżącej.

– Znowu się zmoczyłeś.

– Ja … – Zaczął płakać.

– Przestań!, do jasnej cholery. Ile ty masz lat? Dorosły człowiek, a zachowuje się jak gówniarz. To choroba, musisz w końcu to sobie uświadomić. Jutro pójdziesz z tym do lekarza. Ja już tak dłużej nie wytrzymam!

Nie odpowiedział. Nadal płakał.

– Słyszysz, mazgaju?! Do lekarza! Jak nie, to rozwód. Zrozumiałeś? Nie mam zamiaru czekać dotąd, aż wszystko zgnoisz.

Milcząco skinął głową, następnie wstał i niespiesznie, przygnębiony kolejnym atakiem enurezji, powędrował do łazienki – nie poznając drogi z gór.